

Tadeusz Mroczkowski

II/294 Ł

Niewolnik

© ARCHIWUM WOSHOJNE

po skończeniu studiów uniwersyteckich coraz rzadziej odwiedza-  
łem swoją wieś rodzinną, <sup>Kowowo</sup>. Rozmowy z bratem, który tam  
został na ojcowiznie, pełne były narzekania z jego strony i pre-  
tensji do matki, mnie i drugiego brata, Karola. Ludwik nie lubił  
pracy na roli, bo miał świadomość jej nikłych efektów w stosun-  
ku do ogromnego wysiłku, jaki wkładał w prowadzenie dwudzieste-  
hektarowego gospodarstwa. Fakt, że jako najstarszy z rodzeń-  
stwa (miał lat 12, gdy ojciec zginął w 44-ym roku) musiał wy-  
konywać prace, którym sprostać mogli jedynie dorośli, przesą-  
dził o jego złym stosunku do braci i matki. W samym istnieniu młó-  
dszego rodzeństwa widział przyczynę swego złego losu, a matkę  
oskarżał o to, że niesprawiedliwie rozdzieliła role w dramacie  
osieroconych dzieci. Jedynie w stosunku do siostry, najmłodszej  
z rodzeństwa, nie miał odwagi formułować jakichkolwiek pretensji,  
bo była z nim na gospodarstwie do 18-ego roku życia, choć ukoń-  
czywszy szkołę średnią "poszła w świat". Matka, kobieta, która z  
z trudem potrafiła się podpisać, miała przedziwną wiarę w potęgę  
wyszkolenia. Człowiek wykształcony, według niej, nosi w swojej  
głowie wielki majątek, którego nikt nie jest w stanie mu odebrać.  
Potwierdzeniem tego przekonania były fakty; wystarczyło, by ktoś  
ze wsi lub okolic wyjechał do miasta i starał się w świecie lub  
skończył jakąkolwiek szkołę, a już było widać, chociażby po jego  
ubierze, że jest mu lepiej. Bez najmniejszych wahań zdecydowała:  
najstarszy syn zostanie na gospodarstwie, dwaj pozostali synowie  
niech "idą w świat", a z córką jakoś tam będzie. Ponieważ Ludwik  
nie przejawiał zbytniego zainteresowania szkołą, przestał do niej  
chodzić już po ukończeniu II klasy szkoły podstawowej. Natomiast  
Karol i ja, najmłodszy z braci, uczyliśmy się bardzo dobrze, naj-  
lepiej w swoich klasach, toteż matka widziała w nas tych,

Karłowice

którzy sдобą, szczyty, o jakich nikt w [redacted] nie narzył. Być może te jej marszenia były dla niej jedynym ratunkiem przed kompletnym załamaniem, bo inaczej trudno je wytłumaczyć. Cztery drobnych dzieci niedzianych i głodnych w chacie, w której wafa w wiadrze zamarszała, bo nie było kemu ściąć i narąbać drzewa na opał! Ziemia leżała odlegiem, jedynie cztery hektary dawały chleb, uprawiane z sąsiedzką pomocą. Był taki moment, pamiętam, matka w rozpacz waliła głową o ścianę, bo jedynego konia sдобie w nocy ukradli. Jednak nie załamala się. Na bunt Ludwika przeciwko nauce jego braci miała zawsze jedną odpowiedź: "oni ci pomogą, gdy się wykształcą". On jednak nie podzielał nadziei matki. Nie chciał żyć nadzieją jak ona, ale ostatecznie kapitulował przed jej matczynym autorytetem, choć bladł on w miarę upływu lat i bywało, że matkę musiała się bać buntu swego najstarszego syna. W domu dochodziło do bójek między synami, że krew się lała, a matka w swojej bezradności miała jedną radę dla swoich dwu synów: "pójdzcie<sup>cie</sup> w świat", tam gdzie słońce zachodzi, tam was będzie lepiej". Totem do szkół średnich uczęszczać oszaliśmy daleko poza domem, mieszkając w internatach. Karel potrzebował świadectwa o stanie majątkowym a dzięki temu otrzymywał stypendium, ale po pewnym czasie oszustwo wykryto i syn kałaka musiał opuścić szkołę. Ja zacząłem<sup>uczyć</sup> się w szkole średniej prowadzonej przez księży salezjanów, co było szczytem heroizmu ze strony matki, bo opłata była bardzo wysoka. Nigdy nie zapomniał sceny, jaka się rozegrała, gdy odjeżdżałem z domu po pierwszych wakacjach. Z dwu świniaków, jednego matka przeznaczyła na sprzedaż, by zapatrzeć mnie w pieniądze na podróż i opłatę za internat. Ludwik powiedział, że swojej ręki nie dołożę,

by tego Świniaka zakładać na wóz. Pomogli sąsiedzi. Ja w tym czasie odczuwałem jakąś dziwną, niesprawiedliwość, której nie potrafiłem określić. Czuliem się winowajcą, dziś bym powiedział — tragicznym bohaterem w sytuacji, która nie zawierała w sobie możliwości szczęśliwego rozwiązania. Matka natomiast nie miała żadnych wahań.

Myślałem o tym wszystkim, gdy otrzymałem telegram od Ludwika: "przyjeżdżaj, sprawa pilna". Udałem się na dworzec autobusowy i po czterech godzinach jazdy znalazłem się w Polkowie. Spotkanie z krajobrazem stron rodzinnych zawsze wywoływało we mnie nastrój, który śmiem nazwać religijnym. Idąc polną ścieżką od autobusu znowu wydało<sup>mi</sup> się, że w łanach zboż ukrywa się ktoś wszędzie obecny i szepta do mnie: "Wróciłeś, synu marnotrawny, bądź pozdrowiony w imię owsa, żyta, pszenicy, jęczmienia, znowu jesteś unikowanym dzieckiem moim, wejdź do królestwa krajobrazu swego dzieciństwa i odpocznij w cieniu wspomnień". Miałem ochotę uklęknąć i pomodlić się do słońca i ziemi, mając pewność, że nie byłoby w tym nic bałwochwalczego, lecz przeciwnie, byłaby to najczystsza modlitwa do Pana owsa, żyta, pszenicy, jęczmienia, jedyne, który jest i który czeka ~~na~~ jedynym dla mnie krajobrazie stron rodzinnych. Właśnie przechodziłem polami, które zwą się Dworznicą. Nikt nie jest w stanie wytłumaczyć genezy tej nazwy. Pewne jest natomiast to, że oznacza ona obszar najżyźniejszej ziemi, takiej, która potrafi rodzić bez nawożenia. Cztery hektary ziemi na Ludwik na Dworzanicoy. One nas uratowały od śmierci głodowej. Wystarczyło zaorać, posiać i na wiosnę wyrosło zboże. A gdy rosło zboże, rosła nadzieja. Tutaj siadałiśmy razem, czworo rodzeństwa z matką, strudzeni pracą, posilali się